Ner 25. Kraków 22 czerwca 1867. Rok II.

Prenumerata miejscowa: *rocznie* 6 złr., *półrocznie* 3 złr. — *ćwierćrocznie* 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesyłką pocztową: *rocz.* 7 złr. 20 c. *półrocz.* 3 złr. 60 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez mód i bez nut rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje *rocznie* 3 złr. 70 c., *półrocznie* 1 złr. 90 c., *ćwierćrocz.* 1 złr. w. a.
Nuty *rocznie* 1 złr. 25 c., *półrocz.* 65 c., *ćwierćrocznie* 35 c. w. a.

# KALINA

Wychodzi co sobota o godzinie 9. rano.

W Krakowie prenumerować można w biórze redakcyi: ul. *Mikołajska* 458, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni *J. Czecha*
We Lwowie można prenumerować i odbierać w ajencyi *T. Kochańskiego*.
W Poznaniu w księgarni Mieczysława *Leitgebera* Hotel du Nord.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c. następnie po 4 c. Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

BIBLIOTEKA dla kobiet jako DODATEK do „Kaliny", albo *osobno* kosztuje rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr, — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. — miesięcznie 50 c. — Osobno prenumerować można za pośrednictwem wszystkich księgarń.

☛ Zwracamy uwagę na ogłoszenia o zmianach i ulepszeniach — zawarte w dołączonym do dzisiejszego Nru dodatku.

☛ Dla Pren. dołącza się dalsze dwa arkusze **„Biblioteki dla kobiet"**.

## Równouprawnienie.

(Ciąg dalszy.)

Również urocze jest stanowisko kobiety jako żony. To stanowisko obrazuje całe jéj przeznaczenie. Tu ona jest ową towarzyszką, na którą ją stworzył Bóg w raju z kości Adama. Jest natchnieniem, muzą całéj dzielnicy jego myśli i czynów — przystanią jego uczuć, jego uzupełnieniem i zadowolnieniem jego tęsknoty, jego lat młodzieńczych. Sakramentalny związek łączy dwie istoty w jedną: „jedno serce w dwóch ciałach, jedno pragnienie, jedna myśl". Związek ten małżeński podobny owemu sakralnemu małżeństwu rzymskiemu — ale o ileż szczytniejszy, czystszy i sprawiedliwszy. Mąż nie ma prawa życia i śmierci nad swą towarzyszką i w każdéj sprawie uszanowana jéj wolność osobista. Prawo jéj zarówno służy jak mężowi. Mąż ją kocha, ceni i ubóstwia, jeźli ona umie i chce być jego ziemskiém bóstwem — jego geniuszem. Dzieli się z nią swém imieniem, równie jak się dzieli swém mieniem i sławą. Ona pracuje z nim wespół nad utrzymaniem domu, przysporzeniem bytu, wychowaniem dziatek; ona jedna mu przyjaciół gościną, rozbraja nieprzyjaciół swą cnotą i wstawieniem się — spełniając piękne i urocze obowiązki gospodyni:

„Mąż losem domu zajęty,
Puszcza się w świata zamęty,
I rozmaicie
Jawnie i skrycie,
Pracą, nauką,
Przemysłem, sztuką,
Śród przygód toni
Za szczęściem goni.
Zmienia się postać ubogiéj chatki,
Strumieniem płyną zewsząd dostatki,
Rosną zasoby dobrego mienia,
Dmą się spiklerze, dom rozprzestrzenia;
W nim rząd prowadzi
Żona kochana,
O wszystkiém radzi
Wszystkiém stroskana,
Jako wzór matki
Naucza i karci dziatki,
Jak gospodyni
Zabiegi czyni,
Doziera, sprząta
I wciąż się krząta,
I jak dzień boży
Pożytek mnoży;
I swą szkatułkę napełnia złotem,
I wartkim skręca nić kołowrotem,
I śnieżném płótnem nabija skrzynie,
I stroi półki w świetnie naczynie,
I chcąc porządku razem ozdoby
Jest każdéj doby,
Wieczór i z rana
Niezmordowana. (Pieśń o dzwonie.)

Oto rys przeznaczenia i właściwego stanowiska kobiety — zakończę go słowy wzorowéj mistrzyni kobiet Klementyny: „Być drugą w społeczeństwie, raczéj pomagać niż działać; więcéj znaczyć przez drugich, niżeli przez siebie; pełnić chętniéj wolę cudzą niż własną, żyć mocniéj w drugich niż w sobie; nie wypatrywać nowéj drogi, ale iść ubitą; nie sięgać daleko, lecz świat widzieć w domu, szczęście koło siebie; obok światła prostotę ducha zachować, obok mocy uczucie, umiarkowanie, obok wdzięków skromność; w młodości być kwiatem rodzaju ludzkiego, przez całe życie ziemskim aniołem, który modli się, kocha, dzieci piastuje, chowa i uczy, cnotę szczepi, pokój sieje, niebo ku ziemi przychyla — oto treść przeznaczenia kobiety.

Nie zbija zupełnie owego twierdzenia to, że nieraz kobiety królowały narodom, a królowały mądrze i dobrze. Bo jeżeli się ich panowaniu przypatrzymy — to

spostrzeżemy, że szczęściem, którém darzyły narody, nie było dziełem potęgi ich umysłu, lecz raczéj dziełem ich cnót poświęcenia się i wdzięków. Przychylały one błogosławieństwo niebios krajowi swemi cnoty. Tak uszczęśliwiły Hiszpanią Izabella, Polskę Jadwiga jako żony ale nie jako królowe. Małżeństwo Izabelli z Ferdynandem, lub Jadwigi z Jagiełłą, były to słońca potęgi dla tych narodów.

Inne kobiety-królowe miały szczęśliwe otoczenie potężnych umysłów, wytrawnych polityków, którzy szalą losów narodu zręcznie rozrządzać umieli. Więc i na tronie stanowisko kobiety acz świetne, ale bierne. Królowanie kobiet nie może tedy świadczyć o ich uzdolnieniu obywatelskiém.

Określiwszy w ten sposób stanowisko kobiety, mamy jeszcze kilka słów powiedzieć w kwestyi jéj oświaty i zarobkowania. Kwestja oświaty była już pobieżnie roztrząśnięta w pierwszych numerach tego pisma, gdzie powiedziano, że cały obszar nauk otwarty jest kobiecie. Na co zgodzić się trudno; niech raczéj kobieta zna i umie tyle, ile potrzeba do jéj zawodu jako matki, żony i gospodyni *). Zakres to dość obszerny.

Pozostaje nam jeszcze jedna najważniejsza kwestja rodzaju żeńskiego, tj. kwestja pracy kobiet. Sprawę tę uczona Niemka p. Otto zdolném opracowała piórem, podniosłszy jéj ważność i znaczenie wobec dzisiejszych społeczeńskich stosunków.

Prawa do pracy nikt kobiecie nie odmawia, ale kobiety nie cisną się same do nowo im otwartych zawodów, i poczyniono szczególnie z młodemi i przystojnemi przy pocztach, telegrafach i kolejach nienajprzyjemniejsze doświadczenia **). Zapatrywania się więc są bardzo podzielone, czy w ogólności w interesie kobiet leży dać im przystęp do wszelkich możliwych zawodów i zarobkowań — wedle różnego zapatrywania się na moralne względy. Pani Otto umie bardzo trafnie i biegle prowadzić sprawę kobiet, ale tak ona jak i jéj poplecznicy podobni są do owych jenerałów bez żołnierzy.

Jest to wszystko istotną prawdą, co ona pisze o niemoralności małżeństwa bez wzajemnego przywiązania, bez świętego łącznika miłości. Takie małżeństwo podobne jest kontraktowi kupna i sprzedaży — który bardzo obraża moralną godność człowieka i bywa zazwyczaj przyczyną zawodów i bólów całego następnego żywota. — Pierwszy raz pióro kobiece odsłania tak energicznie całą sromotę, która wypływa z oddania się dziewczęcia obojętnemu, a czasem nawet znienawidzonemu mężowi. — I dla tego wielką jest niedorzecznością, że matki swoim córkom wskazują wyłącznie zamęzcie jako jedyne ich powolanie, kiedy do niego przecież wszystkie przystąpić nie mogą. Tak utrzymuje pani Otto.

Ale chociażby wychowanie dziewcząt zupełnie było zmienioném i dla nich wszystkie publiczne zajęcia i urzęda otwartemi zostały, zawsze się oglądać będą za małżeństwem, chociażby już wybranego przez siebie nie tak bardzo kochały. Przyczyny tego są tak dawne jak świat i nie trzeba ich — zdaje mi się — wyjaśniać *).

(Ciąg dal. n.)

*) Autor mimo wiedzy i woli oddaje słuszność artykułowi, przeciw któremu zamierzył pisać, bo jakiż to wielki zakres wiadomości potrzebny jest gospodyni, żonie, a cóż dopiero mówić o matce? Jeżeli wychowanie dzieci nie ma być powierzone szczęśliwym okolicznościom, to matce nie powinna być obcą psychologija (dla wczesnego poznania zdolności i usposobień swych dzieci z odpowiedniego działania). (Przyp. red.)

**) Odpowiedzialność za te nieprzyjemne doświadczenia na kogoż spada, jeżeli nie na mężczyzn, nieumiejących uszanować kobiety zostawionéj saméj sobie? A cóż tego powodem? Oto ta bierność, ta ciągła zależność, o którą się autor tak upomina, a która kobietę pozbawioną rodziny czyni ofiarą złych ludzi. (Przyp. red.)

*) Tak, ale jeżeli kobieta posiadać będzie sposób zarobkowania, to każdy chętniéj ją poślubi niż tę, która w posagu nie przynosi mu nic prócz kaprysów, wymagań itd. Tu przyczyna, dla czego stosunkowo tak mało małżeństw w dzisiejszych czasach. Zatrudnienia ludzi szczególniéj naukowych, skromne dają utrzymanie, a wychowanie naszych panien nad stan i możność, uczy ich nawyknień i wymagań, których mąż zaspokoić nie może. Żona w takim razie staje się ciężarem. W tém spaczoném wychowaniu leży powód staropanieństwa. Zresztą z rozszerzenia sfer działalności nie wynika wcale dążność przeciwmałżeńska — bo żadna teorja nie może zaszkodzić temu co jest zarówno prawem natury jak i ustawą obyczajową i religijną. (Przyp. red.)

## Horwacka ziemia. **)

Piękna nasza domowino
Oj junacka ziemio miła,
Staréj sławy podziedzino,
Obyś zawdy szczęsną była.

Miłaś ty nam ziemio droga,
Miłaś ty nam o jedyna,
Miła kędy twa rozłoga,
Miła kędy polonina.

Jasne niebo, jasne czoła,
Błogie piersi, błogie nocy,
Wrące lato, wrące sioła,
Bystre wody, bystre oczy.

Wiele wyżyn, ludu wiele,
Krasne lica, krasne wina,
Silne gromy, siła w ciele,
Oto nasza domowina.

Rzeżą sierpy, brzęczą kosy,
Dziadek liczy kopy całe,

**) Patrz kronikę literacką.

Skrzypią wozy niosąc kłosy,
Miła żona karmi małe.

Mrok zapada, słychać granie,
Rogi dźwięczą po dolinie,
Wkoło ognia wszystko stanie,
Tak to w naszéj domowinie.

Światło wokół mrok przebija
Na wesołéj jasno błoni,
Pieśni głośno brzeg odbija,
Tamburzyca miło dzwoni.

Koło wodzą, żywe koło
Po pagórkach i dolinie,
Pląsa rzeźka młódź wesoło;
Tak się bawim w domowinie:

Czyliż? mgła zasłania?
Czy to naszych płacz tak rzewny?
Czyj to słychać jęk konania?
Ktoś ze sioła, może krewny!

Wojna bracia! bój junacy!
Hej za puszki! broń do boku!
Siodłać konie! Nuż pieszacy,
Nie ustąpim sławie kroku!

Huczy burza, mgła owisła,
Zorza świta, ćma odbieży,
Smutek minął, radość błysła,
Żyj wolności! wróg już leży.

Smutna matko ciesz się szczerze,
Polegli twe dzielne syny
Jak horwaci, jak rycerze,
Mszcząc się hańby domowiny!
Sawo nurty płyń bystremi
Dunaj ciebie nie zagubi,
Po szerokiéj rozgłoś ziemi:
Każdy horwat dom swój lubi:

Póki słońce niw nie spali,
Burza dębów nie powali,
Póki grób go nie nakryje,
Póki serce w łonie bije.

# Hermanowe grzechy i kłopoty.

## II.

### ZBIGNIEW.

(Ciąg dalszy.)

Rad był Brzetysław takiemu gościowi, radzi byli wygnańcy polscy i wnet obmyśliwano, jak rozpocząć wojnę z Hermanem. Uradzono, aby posłać do Magnusa od Zbigniewa, z żądaniem wydania Wrocławia. Magnus od dawna był nienawistny Sieciechowi, który na Wrocławiu chciał swego krewnego posadzić — łatwo więc zgodził się na to, zwłaszcza, że mu obiecywano wiele, jeżliby Zbigniew zwyciężył. Aby jednak pozór zdrady od siebie usunąć, Magnus pytał Wrocławian o radę, mówiąc im: ażali odmówią przytułku synowi królewskiemu i innym ściganym prześladowaniem Sieciecha. Wrocławianie chętnie przystali na to, mając sobie za honor, że królewski syn w ich murach zamieszka i nie domyślając się zdrady wyszli na przeciw Zbigniewowi i wygnańcom, którzy w znacznéj liczbie przybyli.

Król dowiedziawszy się o tém, wysłał co prędzéj posłów do Wrocławian, upominając ich do posłuszeństwa. Mieszkańcy odrzekli:

— Powiedźcie królowi, że nie nieprzyjaciela, ale syna królewskiego wpuściliśmy w nasze mury i tych, których niewinnie prześladuje Sieciech. A gdy posłowie chcieli przed nimi bronić Sieciecha, taką zapalczywością unieśli się mieszkańcy, że ich kamienować chcieli.

Wrócili posłowie z tą odpowiedzią do króla — Władysław więc począł się gotować do wojny, bo i Brzetysław pustoszył już okolice Brzega, paląc i bogate biorąc łupy. Ściągał więc Władysław wojsko z kraju i z Węgier i szedł na Szlązk. Napierał się na tę wyprawę i Bolesław, ale Sieciech podszepnął królowi:

— Zostaw go lepiéj, iżbyś przypadkiem nie miał z dwoma synami do walczenia.

Przyjął te słowa do serca Herman i Bolesława zostawił w Krakowie pilnie przykazując, aby wojenne rzemiosło zaniechał, a przy księgach posiedział trochę.

Wyszedł król z wojskiem na Szlązk, a Sieciecha wysłał na Brzetysława zalecając mu, aby gdy się z Czechem uwinie — szedł na Wrocław i tam się z nim połączył.

Gdy się Władysław Herman zbliżył ku Wrocławiowi z wielkiém wojskiem, Zbigniew zląkł się bardzo. Spodziewana od Brzetysława pomoc nie nadchodziła— Brzetysławowi bowiem nie szło o to, aby Zbigniew stał dobrze, jeno o rozdzielenie sił królewskiego wojska — do tego wynikłe w Czechach niepokoje z powodu krzyżowników, zmusiły go do cofnięcia wójsk, które szły na Wrocław. Tak więc Zbigniew zostawiony sam sobie, trwożył się i nie wiedział co począć.

Wtedy Wrocławianie wysłali posłów do króla prosząc: by się nie pastwił nad własnym synem, by mu przebaczył i tym, których Sieciech pokrzywdził, do kraju powrócić pozwolił.

Długo nie chciał tego Herman uczynić, aż gdy sam Zbigniew wyszedł ku ojcu i do nóg mu się rzucił — zmiękł król na widok syna, którego dawniéj tak kochał, darował mu winę, wjechał z nim razem do Wro-

cławia i tam go wobec zgromadzonego ludu za syna uznał i Szlązkiem udarował.

Uradowany i w sumieniu spokojny król udał się do Gniezna, dokąd niedługo potém nadciągnął Sieciech.

— Cóż to ja za wieści słyszę? rzekł wchodząc do króla — wiary im dać nie mogę i chyba, że je z waszych ust królu usłyszę....

— O czémże chcesz słyszeć?

— Mówią, że nietylko nie ukaraliście Zbigniewa, ale żeście go Szlązkiem obdarzyli.

— Tak zrobiłem i czuję, że zrobiłem dobrze.

— Ależ Szlązk Bolesławowi daliście.

— Nagrodzi mu się ta strata całém królestwem. Sieciechu, gdybyś ty widział, jak przykro mi było patrzeć na syna téj, którą tak kochałem, gdybyś widział z jakim żalem leżał u nóg moich prosząc o to, co mu się słusznie należy — nie dziwiłbyś się tak mocno temu, co uczyniłem.

— Więc wy królu wierzycie w kłamaną miłość i pokorę Zbigniewa?

— Nie, on udawać nie mógł....

— Jakże łatwo wszedł do waszego serca chytry lis. Głaskajcie go i tulcie do siebie, a on kiedy poczuje niemoc waszą, rychło się na was rzuci.

— Próżno go obmawiacie Sieciechu — przez to, że mu ustąpiłem Szlązka, uspokoiłem go i zapewniłem Bolesławowi po mojéj śmierci spokojne panowanie.

Źle królu myślicie, jego dumę nie tak łatwo nasycić. Niech jeno posłyszy, że was niemoc na łoże rzuciła, a wnet się pocznie ruszać i na Szlązku będzie mu za ciasno.

— Uprzedzacie się do niego. Łatwo was przekonam Sieciechu, że tak nie będzie. Wyślę zaraz do niego dworzan, którzyby mu oznajmili, że zaniemogłem w Gnieźnie i radbym go widzieć przed śmiercią, a zobaczycie, jak skoro przyleci.

— Żeby za berło chwycić.

— Nie, żeby płakać nademną.

Jak postanowił król tak i zrobił. Udał niemoc i wysłał z tą nowiną do Zbigniewa posłańca.

Zbigniew siedział w Wrocławiu zły i nie kontent. Jego wielkie zamysły o koronie spełzły na niczem i ograniczyły się na tak małém.

Ludzie, których on pociągnął za sobą nadzieją dostojeństw i nagród, pytali z urąganiem, ażali rychło się na Szlązku królem uczyni. To wszystko szarpało go, jątrzyło i niepokoiło. Knuł więc w głowie nowe zdrady i pomysły, gdy poseł z Gniezna zwiastował mu, że ojciec jego zachorował mocno.

Wszystkie nadzieje uśmiechnęły się znowu Zbigniewowi. Pewny śmierci ojca zebrał drużynę, otoczył się pompą królewską i tak jechał do Gniezna.

Właśnie Sieciech siedział u łoża królewskiego, kiedy przyszła wieść, że Zbigniew wjeżdża do Gniezna. Wjeżdżał wśród huku trąb i kotłów, otoczony licznym dworem i rycerstwem, które wierząc w jego królewskie nadzieje, zbiegło się do niego. On sam bogato przybrany jechał na białym rumaku. Takim wjazdem chciał zaimponować ludowi, chciał go przyzwyczaić do tego, że on mu panować będzie.

Król patrzał oknem na ten butny wjazd i kostycznie rzekł:

— Sieciechu, doskonały zastawiliście samotrzask. Podaj mi szaty, chcę, żeby mnie Zbigniew zobaczył bardzo zdrowym.

Niedługo wszedł Zbigniew — jakże się zdziwił, gdy król trochę szyderczo uśmiechnięty wyszedł ku niemu i witał mówiąc:

— Dziękuję ci Zbigniewie, żeś tak skoro przyleciał do mego łoża.

— Ale wy całkiem zdrowo wyglądacie ojcze.

— Wyzdrowiałem od huku twoich trąb i kotłów które i umarłego ruszyłyby z grobu. To nic i przy zdrowym ojcu zabawić możesz trochę, Szlązk nie ucieknie tymczasem.

Zbigniew zagryzł wargi, poznał podstęp i zawstydził się, że się dał złapać. Herman ciągle słodki a szyderczy, chłostał go dwuznacznemi wyrazami, a trzymał wciąż na swoim dworze. Tymczasem Sieciech odciągał od niego sprzymierzeńców, hojne im dając nagrody i obietnicę, wysłał posłów do Czech dla zawarcia pokoju i po panów Szlązkich uwalniając ich od posłuszeństwa dla Zbigniewa. Zbigniew czuł, jak zdradne sieci stawiano koło niego, szamotał się w téj matni niewidoméj, a czytając w oczach króla złe zamysły, przeląkł się o swoją władzę na Szlązku i tajnie uszedł z Gniezna do Wrocławia.

Ale Wrocławianie zamknęli przed nim bramy. Na miejsce Magnusa osadzony tam Wisław krewny Sieciecha, zabronił przyjmować syna królewskiego, lub pomoc mu dawać. Zbigniew ze spiskowymi pozostałymi poszedł ku Kruszwicy, tam zdradą kilku przekupionych wpuszczony do miasta obwarował się i niezwłocznie wysłał posłów do Pomorzan, wzywając ich na pomoc. Wygnańcy i wspólnicy Bolesława śmiałego na wieść o Zbigniewie zbiegli się także do Kruszwicy, wiodąc za sobą lud. Z nimi przybył także śpiewak Bolescyta. Stary od śmierci Mieszka wciąż chodził pomiędzy ludem, chwaląc pieśnią Bolesławowe czasy, płacząc nad śmiercią jego syna i wzywając lud do zemsty. Jakąż więc radością przejęła jego serce wieść, że Zbigniew gotuje się do walki z królem. A lubo słabą miał nadzieję, że Zbigniew podeprze pogaństwo, przecież spodziewał się tego, że z upadkiem Sieciecha i jego sprzymierzeńców, duchowieństwa potęga osłabnie i wygnani towarzysze Bolesławowi wrócą do kraju.

Pomorzanie radzi, że się im zdarza sposobność niszczenia Polski, znacznym tłumem nadciągnęli nad Go-

pło, gdzie i Zbigniew wyprowadził wojsko, czekając ojca swego, który z Sieciechem na czele licznego wojska zbliżał się tam także.

Dziwną mięszaniną ludzi było wojsko Zbigniewa. Tu Pomorzanie nad jeziorem na białym kamieniu palą ofiary bogom — tam niemieccy sprzymierzeńcy przed ukrzyżowanym Chrystusem mszy świętéj słuchają — a pod zielonym rozłożystym dębem arcykapłan polską mową prosi Perkuna o zwycięztwo. Wiele bowiem (jakeśmy to wyżéj wyrzekli) pogan było jeszcze podówczas — były to resztki z przed Kazimierzowskich czasów, do których dołączyło się potém mnóstwo wspólników Bolesławowych i wiele ludu. Lud bowiem zanadto jeszcze silne miał wspomnienie lepszego bytu w pogaństwie, by miał tak prędko przywyknąć do wiary nowéj, która od nich żądala dziesięcin, która im możnowładców słuchać nakazywała. Do tego dodać należy, że księża byli po większéj części cudzoziemcy, ztąd malo mogli i umieli wpływać na religijne wykształcenie ludu. Zdarzało się więc często, że wielu z ludu wypowiadało posluszeństwo panom, paliło kościoły i uciekało w Prusy, lub na Pomorze szukać przytułku u pogan. Takich dużo było, byli między nimi i tacy, jak Bolescyta, którzy żywili w sobie nadzieje, że pogaństwo zwycięży chrześcjańską religiję, że znowu w poświęconych gajach staną posągi bogów starych. Dla takich ludzi wystąpienie zbrojne Zbigniewa było kotwicą, któréj się uczepili z całym zapałem, aby dojść do celu.

Kiedy odprawiono modlitwy — trąby zagrały i wojska Hermanowe poczęły się zbliżać. Walka była długa i zacięta. Pogaństwo jak rozburzone morze z wielkim szumem ruszyło i uderzyło tak silnie na Hermanowe wojsko, że się to zachwiało i zatrzęsło jak mury, gdy runąć mają. I znowu cofnęla się fala i z nową mocą uderzyła, łamiąc królewskie szeregi. Wtedy poczęła się rzeź. Zbigniew w czarnej zbroi na czarnym koniu jak szatan zniszczenia uwijał się z błyszczącym mieczem i zachęcał do boju. Była to jedyna chwila w życiu, w któréj grał pięknie rolę bohatara. Lękliwy i przezorny z natury, dziś pewnością zwycięztwa, nadzieją korony rozpalił ducha i ścigał nieprzyjaciela. Herman patrzący ze wzgórza na tę walkę, załamywał ręce i myślał już o ucieczce, gdy wtém Sieciech na czele posiłkujących hufców ukazal się. Ta niespodziewana pomoc dodała królewskim otuchy, a Pomorzanom napędziła strachu. W nieładzie pierzchać poczęli, porywając ze sobą w pędzie tych nawet, którzy do upadłego bić się chcieli. Zbigniew wśród powszechnego popłochu uciekł do Kruszwicy z wieloma spiskowymi i tam się zamknął. Wielu z jego drużyny niechcąc uciekać z Pomorzanami stanęło, czekając nieprzyjaciela, ale rażeni gęstemi pociskami cofali się do jeziora i tu przyparci częścią potonęli w jeziorze, częścią od miecza poginęli. Aż jezioro poczerwieniało od krwi zabitych i zaśmierdziało od mnóstwa trupów.

Władysław po tak walném zwycięztwie podstąpił pod Kruszwicę. Miasto ono było bardzo warowne, ale ludzi zbrojnych nie wiele, a dotego żywności mało. Król wiedział o tém i dlatego słał kilka razy posłów do mieszkańców upominając ich, aby się poddali — ale ci zawsze hardą mieli odpowiedź: zdobądźcie, a poddamy się.

Zbigniew tracił już nadzieję utrzymania się w mieście — pomocy z Pomorza żadnéj się nie spodziewał, a uciekać nie było którędy — począł więc myśleć o układach z ojcem, o przeproszeniu go; ale silne postanowienie nie poddania się, jakie czytał w oczach wszystkich wstydziło go wykryć się z tą myślą. Siedział na zamku zgryziony, zwątpiały i smutny — często widziano go klęczącego.

— Królewicz wierzy, że Chrystus zstąpi z krzyża i pomoże? spytał go raz Bolescyta, zszedłszy go na klęczkach.

— Zkąd innąd nie ma pomocy.

— Pomorzanie.

— Zdradzili nas i pierzchli, teraz nie wrócą.

— Toć i nasi rozpierzchli się pewnie tylko, ale nie poginęli.

— Spojrzyj na Gopło czerwone teraz, a przestaniesz wierzyć, że wstaną.

— Cóż więc będziemy robić królewiczu?

— Ja nie umiem radzić....

— A jabym miał radę.

— Jaką? spytał z zajęciem Zbigniew.

— Herman lekceważy nasze siły, zróbmy więc wycieczkę nocą na spiącego nieprzyjaciela i w najgorszym razie przerżniemy się i w innéj stronie Polski zapalimy nową wojnę.

— Starcze, głowa twoja biała, a mówisz jak dzieciuch. To niepodobieństwem przerżnąć się przez te roje wojska.

— To zgińmy pod gruzami, kiedy zwyciężyć nie możemy.

Zbigniewowi niepodobala się ta myśł, bo się odwrócił i zamilkł; ale śpiewak pytal:

— I cóż wy na to królewiczu?

— Spojrzyj po bladych i wynędzniałych twarzach towarzyszy twoich i mieszkańców miasta, a zwątpisz że się bić zechcą.

— A ja przysięgnę za nich.

W téj chwili Zbigniew stojący przy oknie cofnął się pobladły i spytał co to jest, co to jest Bolescyto! w obozie światel tyle — wszystkie w ruchu i ku nam się zbliżają.

— Gotują się do szturmu na rano.

— Zginęliśmy — rzekł Zbigniew i zakrył twarz rękami.

— A czy mieliście nadzieję, że nie zginiemy? spytał trochę pogardliwie śpiewak. Pójdę, mówił dalej — do moich i przygotuję ich na śmierć.

(Ciąg d. n).

# Wystawa obrazów w Krakowie 1867.

(Ciąg dalszy.)

Wymieniwszy te ostatnie obrazy, czujemy się w obowiązku zapoznać bliżéj Czytelników z ich treścią.

Obraz pana Cynka nie jest wcale illustracją pewnéj jakiéjś sceny z Maryi Malczewskiego — zdaje mi się raczéj wysnuty ze smutnéj historyi Gertrudy Komorowskiéj. Stary Komorowski świątecznie przybrany widocznie wrócił dopiero do domu, i odczytuje list jakiś złowróżbny. Laska i czapka obok się znajdujące tym bardziéj utwierdzają nas w tém mniemaniu. Niech się nikt nie dziwi, że temi szczegółami tak motywujemy nasze tłomaczenie obrazu — wyczytaliśmy bowiem w jedném piśmie, że to scena w chwili przyjazdu kozaka z listem od wojewody, który (jak wiemy) był pojednawczy, więc nie byłby takiego bolesnego wyrazu dobył na twarz Maryi. Ten wyraz boleści z wielką prawdą uwydatnił artysta, szkoda tylko, że zapomniał o tém, że Marja (czy Gertruda jak ją kto chce nazywać) musiała być bardzo piękną, kiedy mogła takie obudzić zajęcie w wojewodzicu. Jest także błędem w obrazie, że akcessoryja występują i uderzają w oczy ze szkodą głównych figur — zdaje się, jakoby tu figury były dodatkiem do obrazu. Takie wykończenie szczegółów jakkolwiek świadczy o sumienności i pracy artysty, nie wychodzi na zaletę obrazu.

P. Mirecki obrał sobie nadzwyczaj wdzięczne i poetyczne przedmioty. Barbara i Zygmunt ta królewska para zakochana, błąkająca się po ogrodach wileńskich ze smutném przeczuciem przyszłości, dziwny urok robi na nas. Szkoda tylko, że pendzel artysty nie dorównał poetyczności jego pomysłu. Również obrazek przedstawiający tegoż Zygmunta klęczącego przy trumnie wcześnie zgasłéj małżonki ma te same wady. Widmo Barbary pojawiającéj się nad trumną w odległości paru kroków wydaje się jak kilka niezgrabnych, zamazanych pociągów kredą po obrazie. Łatwo mógł artysta uniknąć téj nienaturalności, rzucając przez okienko strugę światła do grobowca i na trumnę Barbary. W takiéj światłości fantazja tworzy sobie eteryczne postacie, widziadła, artysta pomógłby téj fantazyi, rzucając wśród téj jasności ogólne, niewyraźne zarysy młodéj królowéj. Wytykając te wady p. Mireckiemu, musimy uznać jego pracę i usiłowania, które są widoczne.

To samo uznanie należy się pracy p. Jaroszyńskiego, która świadczy o wielkim i szybkim postępie. „Grażyna“ pozostawia daleko za sobą dawniejsze utwory jego. Ciemny koloryt obrazu, efektowne światło rzucone z pośród rozerwanych chmur na trzy postacie (Grażyna, Rymwid i Litawor), odtwarzają w nas wrażenia Mickiewiczowskiego poematu. Zarzucić jednak musimy artyście to, cośmy zarzucali p. Cynkowi — jak w Maryi drobiazgowe wykończenie akcessoryj psuje wrażenie całości, tak w Grażynie przeważnie konie zwracają na siebie uwagę — a osoby są dodatkiem. Jakkolwiek konie są specjalnością pana J. jednak w obrazach tego rodzaju nie należy specjalności uwydatniać ze szkodą całości.

W niemałym jesteśmy kłopocie, co powiedzieć o Marynie Mniszkowéj p. Młodnickiego. Dziwna tam mięszanina wybujałéj fantazyi, z realizmem posuniętym do karykatury, poetyczność pomysłu obok nieudolności wykonania. Dość tu wspomnieć ową skałę namalowaną na pamięć, mającą podobieństwo raczéj do olbrzymiego ziemniaka, niż do skały — nieszczęśliwie w skróceniu narysowane dziecko umarłe z nadętą twarzyczką, które Maryna ma pogrzebać w grocie, wstrętne czyni wrażenie — a duże oczy Maryny lubo pełne dumy carskiéj, nawet w chwili smutku przypominają nam porcelanowe wyroby. Również perspektywiczne oddalenie kozaka wcale się nie udało. Innych obrazów oczekiwaliśmy od utalentowanego artysty.

Od tego ciemnego, ponurego wnętrza groty, w któréj caryca grzebie ostatnie swoje nadzieje, zwracamy się do obrazu p. Stryjowskiego. Rodzina szlachecka w obozie cygańskim — trzymanego w ciepłym kolorycie południowego nieba. Wielu widzów złudził napis szlachecka rodzina, do przymiotnika „szlachecka“, każdy sobie naturalnie dodawał w myśli „polska“ i dziwił się rysom twarzy wcale nie polskim i nie polskim ubiorom. I rzeczywiście artysta wcale nie myślał o polskiéj szlachcie — rozległy widok morski na tle obrazu aż nadto jasno tłomaczy myśl artysty — scena odbywa się nad brzegiem morza, może w Dalmacyi; rodzina zwiedzająca obóz wnosząc z rysów twarzy i ubiorów jest serbska lub słowacka; ale nigdy polska. Ciekawy jest kontrast rodziny szlacheckiéj i cygańskiéj, świat ucywilizowanego i życia nomadycznego włóczęgów. Młody cygan leżący niedbale na kamieniu i obojętném okiem patrzący na przybyłych, jest doskonałym typem owéj apatyi cygańskiéj na ludzi, na świat, wśród którego się poruszają, nieznając jego życia, stosunków, postępu i nie usiłując ich poznać. Dwie cyganki leżące za nim i przypatrujące się przybyłym, są uzupełnieniem tego samego charakteru. Jedna patrzy spokojnemi oczami — druga z niezadowoleniem i pogardliwie, jakby się pytała: „po co wy tutaj“? Obydwie są doskonałymi typami cygańskimi. Cała ta scena odbywa się wśród kamieni obok cmentarza żydowskiego, którego sterczące nagrobki nie bez celu umieścił artysta

obok cygańskiego obozu. Wszak i żydzi tułacze bez ziemi pogardzani; ale oni włóczęgę swoją po ziemi znaczą grobami — gdy cyganie idą bez śladu.

Chwalono także niewielki obrazek p. Leopolskiego, przedstawiający żyda przed kantorem loteryi. Rzeczywiście obrazek ten jest bardzo charakterystyczny, udany, prawdziwy; ale pewni jesteśmy, że fotograf gdyby znalazł równie charakterystyczny typ żyda, również szczęśliwie wywiązałby się ze swego zadania. Czegoś innego po p. Leopolskim spodziewaliśmy się jak małych obrazeczków, które homeopatycznie przesyła na naszą wystawę.

(Ciąg d. nast.)

## O muzyce i niektórych jéj mistrzach.

(Ciąg dalszy.)

Pełen ideałów Jean-Paula szukał Szumann swoich światów najprzód u fortepianu. Trzymając ręce raczéj pomiędzy sobą jak obok siebie, wmyślał się w czysto fantastyczny świat. Każdy klawisz to u niego słowo, barwa, kwiat — i ztąd to owe arabeski jego, które bądź jak madrygały dzwięczą, bądź jak girlandy lub pryzmatyczne obrazki wyglądają. To rozmarzenie się szkodziło jego sile twórczéj.

Zupełnie inny jest stosunek Mendelssohna do fortepianu — nie miał doń upodobania i pisał zwykłym fortepianowym stylem swojego czasu.

Szumanna, możnaby nazwać wizjonerem, patrzącym ciągle na wewnątrz w siebie. — Jego wyłącznie podmiotowa natura, unika zewnętrznego światła i rozwija| w sobie ekscentryczny pociąg do lirycznego życia; pod ciśnieniem równikowéj atmosfery wydaje ten zamknięty umysł najszczególniejsze twory. Odbywa się tam cały obieg refleksyj i usposobień Fausta — i w takiéj godzinie niezadowolnienia z życia, pojawia mu się *Manfred*. Widzi własne wnętrze dramatycznie przed sobą jako przedmiot, zaklęciem muzyki stara się to zjawisko zatrzymać. Tylko po ognistym łuku uwertury z *Manfreda* idzie droga do poznania ducha Szumanna, tego wielkiego romantyka.

Po egzaltacyi pod wpływem Jean-Paula i Hoffmanna, któréj główne produkta są: karnawał, fantazja C-(dur), sonata Fis (moll) — staje przed jego duszą pieśń, ta pierwotna forma wszystkiego, co nie jest dramatyczne. Potrzeba ścisłego rysunku ratuje tę fantazją gubiącą się w kolorach. Teraz idzie o to, żeby najwyższą, najwdzięczniejszą treść podać ujętą w ramy ludzkiego głosu, żeby niejako przez proces krystalizacyi od ogółu przejść do szczegółów. W ten sposób ta instrumentalna natura wprowadza się zwolna w warunki świata wokalnego.

W pieśniach zwraca się ku wszystkiemu co delikatne i niebiańsko-błogie; tyle tam niewieściego obyczaju i subtelności w téj duszy, że nikt jak on nie potrafił tam wyśpiewać miłości i życia kobiet, nikt nie umiał jak on trafić na ton najczystszéj dziewiczości. Ale któraż postać mogła mu być droższą jak owa szczególna, pół-dziecko — pół-kobieta, z wyrazem tęsknoty? Ani Beethowen, ani Ary-Scheffer nie zdołali przedstawić *Mignon* tak jak on; — oddać jéj niewypowiedzianą zagadkowość i wieczną piękność tych zwrotek, w których ona nadziemską swoją tęsknicę śpiewa. Farba, nawet tak duchowa jak Szeffera, jest więcéj zmysłową jak ton płynący w nieskończoność i niedomówiony.

Po takich kierunkach zwróconych bądźto do symboliki, bądź do tego co proste, naturalne, naiwnie-obyczajowe, dziecięce, nie może zadziwić, że Szumann zwrócił się ku wschodowi, zakochał się we wdziękach *Peri*, i że przez makamy Rückerta powziął sympatją dla cudownego bohatera Abu-Seida. Rycerskość maurytańskiéj romantyki prowadzi go do hiszpańskiéj pieśni, a Robert Burns, ten szkocki Heine, porywa go w góry. Dla kościoła nie pisze Szumann — zamiast do Jeruzalem, pielgrzymuje on za kwiatami.

Po bujnéj, *Peri* pokrewnéj, symfonii B-(dur), następuje cały szereg symfonij i uwertur, ale prawie się zdaje, że surowa administracja orkiestrowa hamuje skrzydła téj marzycielskiéj fantazyi. Najoryginalniejszą i nieskończoną jest ona w tych dziełach, gdzie i fortepian występuje, jak kwintet i kwartet w Es, soneta A-(moll) ze skrzypcami, i koncert fortepianowy. W trzeciéj symfonii czuć już owo usposobienie manfredoskie, które w uwerturze wyraźnie się rozwija.... A w ostatnich dziełach są ślady owéj strasznéj nocy, w jaką los tę szlachetną duszę pogrążył: twórczość staje się luźną, ton mglisty i chwiejny, pomysły raczéj szczególne jak głębokie, rytm gorączkowy, harmonia niepiękna....

Szumanna i Mendelssohna uważano długi czas jako dwa przeciwne bieguny — lecz są to tylko rozdzielone promienie jednego światła. — Jeżeli chowamy w sobie wszystko co jest nieskończone i niewypowiedziane, jeżeli nas pochłania gorąca marzycielska tęsknica, jeżeli świat i jego zjawiska bierzemy raczéj symbolicznie jak wprost i naiwnie, jeżeli lubimy wyprawy na obce, dziwne wybrzeża, aby doświadczyć wpływu szczególnéj miejscowości na naszą wyobraźnią; wtedy wszelkie prawa sympatyi pociągają nas ku Szumannowi. — Jeżeli zaś to co jest, świat i społeczeństwo bierzemy raczéj historycznie jak obrazowo, jeżeli szukamy w sztuce raczéj piękna i miary jak niesłychaności; jeżeli wolimy być pobudzeni jak wzburzeni; jeżeli wolimy iść po nad głębią pewnym krokiem po bezpiecznéj ścieżce, jak tragiczną niepewność i niebezpieczeństwo w szukaniu nowych dróg — wtedy do Mendelssohna skłaniać się będziemy.

Siła dramatyczna jest w obydwóch słaba, nie mogą się zebrać na to, aby przedmioty swoje w sposób freskowy obrabiać. W Wagnerze dopiero nabiera dramatyczność perspektywicznego znaczenia.

(Ciąg d. n.)

## Wezwanie.

Stowarzyszenie Urzędników prywatnych marzone od lat wielu przyszło nareszcie do skutku, i jest już w znacznym związku. Któż może poprzeć go lepiéj, jak szczere usiłowanie wszystkich pięknie myślących kobiet.

Przed laty siedmiu nie wachałam się z memi słabemi silami, podnieść publicznie w kraju téj sprawy, i głos mój zrazu przyjęty, został potém długo głosem wołającym na puszczy; jednakże w końcu dał P. Bóg, że zawiązało się stowarzyszenie, i dziś w zawiązku potrzebuje pomocy i dobréj chęci, tak od obywatelstwa ziemskiego, jak i od samych urzędników prywatnych.

Kochane rodaczki! Już przed siedmiu latami odzywałam się w tym względzie do serc waszych — abyście ujęciem sobie jakiéj drobnostki w toalecie, lub w innym zbytku, niosły maleńką ofiarę na ołtarz miłości bliźniego — dziś powtarzam moje wezwanie, moją prośbę, o poparcie z waszéj strony istniejącego już stowarzyszenia. Obecnie, jakże łatwo wam przyłożyć do tego wasze ręce — oto: komitet stowarzyszenia, dla powiększenia początkującego funduszu zamyślił urządzić olbrzymią loterję fantową. Do tego potrzeba mnóstwo fantów, a więc współudziału całego kraju, a szczególniéj płci pięknéj. Otóż co za łatwość dla was łaskawe czytelniczki przyczynić się do tak pięknego celu! Niechaj każda z czytelniczek uzbiera kilka bagatel na fanty i odeszle takowe do Redakcyi „Kaliny“, która chętnie się tego podejmie, albo na moje ręce — (do tego bowiem jestem upoważnioną), co przyczyni się wiele, bez najmniejszéj trudności, bez żadnego ujęcia sobie, do tak wysoce pożytecznéj sprawy). A któréj z was łaskawe czytelniczki, (co zda się niepodobném) i to niemożebnémby było, niechaj raczy przynajmniéj poruszać tę sprawę serdecznie, nakłaniać do przystępywania do stowarzyszenia, wystawiając dobrodziejstwo emerytury w starości, lub dla opuszczonych żon i sierot — a uczyni już ku dobru bliźniego — wiele. Ktokolwiek przyłoży do tego swą rękę, niech będzie pewien, że pamięć jego będzie zaszczytnie wspominaną, że błogosławieństwo wdów i sierot osiędzie nad jego głową.

Pewna jestem łaskawe czytelniczki, że przytulicie do serca te kilka słów moich, bo one z serca pochodzą *).

*L. Leśniowska*, z Myślenic.

*) Robimy uwagę, że byłoby praktyczniéj, żeby w każdéj okolicy jedna osoba zbierała fanty i takowe razem odsełane były wprost na miejsce przeznaczenia — oszczędziłoby się kosztów. (Red.)

## Kronika literacka.

**Prawdziwa historja lat młodych Antoniego Kostura** — przez *Grzesia z Mogiły*. — Warszawa 1867. — 50 kopejek. — Pod naciskiem cenzury i skrępowaniem wszelkiéj swobody, jednak literatura w Warszawie umie sobie wynaleść drogi do pożytecznéj działalności. W zakresie literatury ludowéj wydaje Warszawa rokrocznie mnóstwo książeczek i pism, które powiększéj części zadaniu swojemu odpowiadają. Do niedawna jeszcze literatura ludowa ograniczała się na ckliwe powieści — których lud nie chciał czytać, jako zbyt dziecinne; — na żywoty świętych i nauki moralne — co znowu należy do kościoła. — Obecnie wzięło już górę to przekonanie, że jak dla innych warstw, tak i dla ludu trzeba pisać na serjo i o tém co go obchodzi: o stosunkach domowych, gospodarskich, społecznych, prawnych - co przystępności wcale nie wyklucza. — Do tego rodzaju książek należy przytoczona powyżéj — w opowiadanie powieściowe wplecione są ustępy pouczające z dziedziny nauk przyrodzonych, z ekonomii; i przyjemność i pożytek w formie wielce zajmującéj, którą się autor odznacza.

Polecamy rozpowszechnienie téj książki wszystkim dbałym o oświatę ludu.

— **Pieśni Kroackie** na język polski przełożył *Hieronim Feldmanowski*. — Poznań u Leitgebera. 1867. — Dzisiaj, kiedy u nas wzmaga się coraz więcéj potrzeba nawiązywania i odnawiania stosunków z innemi ludami słowiańskiemi, przypominamy sobie znowu jak mało jesteśmy oznajomieni z ich literaturą. — Dzienniki nasze zwróciły obecnie uwagę na ten brak i podają wiele poglądów i przekładów z serbskiego i czeskiego i t. d. Pieśni Kroackie Feldmanowskiego stają obok przekładu Pieśni Serbskich R. Zmorskiego. Są tu pieśni obrzędowe, religijne, bohaterskie czyli junackie i miłosne. Odsłania się w nich cała słowiańska dusza tego ludu — poza motywami z dziejów bojowych, z zetknięcia się z Turkami i Węgrami, przypominają one niejednym tonem pieśni naszego ludu. Teżsame przypomnienia z czasów przedchrześciańskich, tażsama niedola junaków uprowadzonych w rekruty, teżsame miłośne gruchania. Przytoczymy tu na okaz kilka wyjątków:

Druchny śpiewają:

Wiedziemy dzieweczkę z królewskiego dworu,
Z królewskiego dworu, malownego grodu,
Wysmukłą, wysoką, smagłą jak konopie,
Białego oblicza, niby łabędzica,
Rumianego liczka, jak leśna jagoda,
Czoła wysokiego, zawsze wesołego,
Ślicznych czarnych oczu jak owo tareczki,
Cienkie ma gardłko, niby gołębica,
Pięknie cienko śpiewa, niby jaskółeczka,
Z rodu zamożnego, pochodu drobnego,
Pochodu drobnego, niby przepióreczka. . . .

Żal rekruta:

Żałośnie nam śpiewa ptaszyna oj smutna,
Że na nas przypadnie żałoba okrutna.
Ach nie ma na świecie człowieka wiernego,
Coby rozweselił junaka smutnego,
Jeno puste pola, jeno puste góry.
Serce się tak żywo kołace w mém ciele
Ilekroć o ojcu pomyślę kochanym,
Ilekroć syn smutny twarz matki obaczę.
A ilekroć spojrzę na miłych mi braci
I oczy obrócę na drobne siostrzyczki,
Łzami się zaleją smutne oczy moje.
Oglądam się w okół, a znikąd pomocy!
Żałośnie by tutaj junaka złowiono,
Smutnieby związano, w tabor zawleczono.
A jeźli mnie kiedy junaka pojmiecie
I gdzie mi nie miło smutnie powiedziecie
Mimo chaty ojca wiedźcie mnie mojego,
W ręce ucałować pozwólcie miłego,
Z matuchną i braćmi, lubemi siostrami
Dozwólcie mi, proszę, pożegnać się łzami!

Piosenka miłosna:

Gołąb grucha, gołębica nie chce,
Cóż to tobie gołębico moja?
Piłabym wodę, lecz daleko w jarze.
Idź kochanku i przynieś mi wody!
Poszedł luby i przyniósł jéj wody,
Lepszy luby, niżli wszyscy drudzy.

Podajemy w środku numeru pieśń jednego z poetów horwackich, która przypomina nam „Pieśń o ziemi naszéj“.

Nakładca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Kraków. — W drukarni c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1867.